

Małżeństwo Dygatów nie było udane, ale zapewne przetrwałoby, gdyby nie Kalina Jędrusik. Młoda aktorka (była młodsza od Dygata o 16 lat) grała razem z Władysławą na scenie Teatru Wybrzeże, a Stanisław pełnił tam funkcję kierownika literackiego. Do ich pierwszego spotkania doszło jednak przypadkowo na ulicy, a potem mieli okazję poznać się bliżej podczas imprezy sylwestrowej. I stało się to, co musiało się stać.

Dygat sprawiał wrażenie zakochanego, przychodził na jej przedstawienia z kwiatami, towarzyszył dziewczynie podczas plażowych spacerów. A Kalina w pełni go akceptowała, zawsze zresztą miała skłonność do mężczyzn starszych od siebie.

Wprawdzie Stanisław nie byłby sobą, gdyby nie narzekał, że „aby się ożenić, trzeba najpierw się rozwieść”, to jednak z rozwodem nie było większych problemów. Gorzej natomiast przedstawiały się sprawy lokalowe i w efekcie cała gromadka (z córką Magdą i matką Władysławy!!!) zamieszkała w jednym, dwupokojowym mieszkaniu. Epoka PRL prowokowała jednak czasami nieprawdopodobne sytuacje.

Początkowo wśród lokatorów panowała jednak nie najgorsza atmosfera. Wszyscy cierpieli bowiem na chroniczny brak gotówki, co zgodnie uznawano za największy problem.

„Co rano wszyscy w domu wywracali kieszenie w poszukiwaniu drobnych, żeby kupić coś na śniadanie – wspominała Magda Dygat. – Potem każdy wychodził na miasto w poszukiwaniu pieniędzy. Macocha [Kalina Jędrusik – S.K.] i ja wyłączone byłyśmy z obowiązku aprowizacji domu, ja musiałam iść do szkoły, a ona na ogół leżała na kanapie z powodu jakichś dolegliwości”.

Sytuacja jak w rodzinie z marginesu społecznego, ale czy mieszkanie pod wspólnym dachem z byłą i aktualną żoną nie nosi cech patologii? A przynajmniej solidnej perwersji? Tym bardziej że jeden pokój zajmowały Magda z babcią, a Dygat z obiema żonami mieszkał w drugim... (...)

Kłopoty z sercem umożliwiły jednak rozwiązanie innego z jego problemów życiowych. Gdy lekarze zasugerowali, aby ograniczył aktywność seksualną, pan Stanisław chętnie przystał na ich propozycję. Oczywiście zrobił to w sposób sobie właściwy – ogłosił wśród znajomych, że przechodzi na „erotyczną emeryturę”, i urządził huczną imprezę. (...)

Wydaje się, że pan Stanisław nie mógł jednak żyć bez flirtów, ale był typem uwodziciela, który nie musiał finalizować romansu. Znakomicie wprawdzie zaczynał, w ogóle jednak nie był zainteresowany dalszym ciągiem. I tak było przez wiele lat.

„Spotykam mego mistrza na ulicy – opowiadał Konwicki – kiedy z angielska wytworny, wypomadowany i wyjardlejonny zdąża gdzieś z tajemniczym bukietkiem. Jest koniec marca 1968 roku.

– Dokąd to, Stasiu? – pytam pełen najgorszych przeczuć.

– A umówiłem się z Dorotą – rzecze mistrz bagatelnie.

– Stasiu, ile lat ma jej ojciec?

– A bo ja wiem. Może czterdzieści pięć, może czterdzieści sześć – w głosie mistrza słyszę wyraźną niechęć.

– Stasiu, przecież dałeś słowo, że nie będziesz podrywać dziewcząt, których ojcowie są młodszy od ciebie.

Dygat robi się czerwony ze złości.

– Teraz już nieaktualne! – krzyczy na całą ulicę. – Po przemówieniu Gomułki wszystko nieważne! Moja przysięga też nieważna!”. (...)

Krzysztof Komeda miał upodobanie do kobiet dominujących i decydujących za niego. Taka właśnie okazać się miała Zosia. (...)

Wymknęliśmy się z zatłoczonej sali. Poszliśmy na Wawel i tam oparci o mur, wpatrzeni w Wisłę, a potem we wschodzące słońce – przegadaliśmy parę godzin. Krzysio opowiadał mi o swojej miłości do jazzu (...) Po paru godzinach wiedziałam, że to jest coś głębszego, coś na całe życie. I powiem wam więcej: nie pomyliłam się! Mimo różnych burz, przez które przechodziło nasze małżeństwo, zawsze trzymaliśmy się razem, wiedziałam i Krzysio wiedział, że możemy na siebie liczyć w każdej sytuacji...”. (...)

Uroczystość miała niecodzienny charakter, jednocześnie bowiem ślub brali pianista Andrzej Trzaskowski i Teresa Ferster. Obie panie były rozwiedzione, natomiast dla ich partnerów było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie życiowe.

W sali ślubnej zabrzmiał *Marsz weselny* Mendelssohna zaaranżowany na sześć saksofonów przez Andrzeja Kurylewicza. Następnie barwny pochód ruszył przez Rynek na ulicę Świętego Marka, do siedziby Jazz Klubu, gdzie odbyło się przyjęcie weselne.

„Zabawa trwała przez całą noc – wspominała Zofia. – Można by rzec – była to huczna zabawa, szczególnie gdy zwróci się uwagę na znaczenie słowa »huczna«. Uatrakcyjniono ją wybuchem petardy, którą dla kawału położył pod kwiaty Andrzej Trzaskowski z Leszkiem Sokołowskim, krakowskim pianistą jazzowym, a którą to petardę dostał od Leszka w prezencie ślubnym. Nie przewidzieli tylko jednego: w małym pomieszczeniu – w klubowej łazience, w wannie pełnej kwiatów petarda zadziałała jak granat: wyleciało troje drzwi, pogruchotane zostały sanitariaty i

oczywiście nielicho wystraszyliśmy się wszyscy. Ale na szczęście nic się nikomu nie stało (...) Ale dzięki temu Rada Klubu miała okazję do ofiarowania nam prezentu ślubnego: nie musieliśmy pokrywać odszkodowań – rachunki za remont wręczono mi jako prezent ślubny (...)” (...)

Halina Mikołajska poznała Mariana Brandysa w domu ZAiKS-u w Zakopanem, gdzie oboje spędzali urlop. Marian osiągnął już wówczas wiek średni i był zupełnie „zadowolony ze swojego stanu kawalerskiego”. Wobec tego inicjatywę przejęła pani Halina i jak zwykle tupetu jej nie zabrakło.

„Odbiła mnie w sposób niesłychany – wspominał Brandys. – W domu ZAiKS-u w Zakopanem podeszła do stolika, gdzie siedziałem z jedną panią, która bardzo mi się podobała, i powiedziała: »Siedzi pan przy niewłaściwym stoliku, z niewłaściwą kobietą«. Zabrała mnie do swojego stolika i tak już zostało. Miałem wtedy 43 lata, odpowiadał mi stan wolny i tylko energia mojej przyszłej żony, która miała wtedy 30 lat, doprowadziła do tego, że zostaliśmy małżeństwem. Ja byłem jej trzecim mężem i tylko zastrzegłem, że to ma być już ostatni raz”.

Pisarz przed ślubem zapytał jednak swoją przyjaciółkę, Irenę Szymańską, „czy kobieta może pokochać mężczyznę o 14 lat starszego od siebie”, i dopiero po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi zdecydował się na małżeństwo. Pobrali się w lipcu 1955 roku w Warszawie (...). Stworzyli udany związek i pomimo upływu lat wciąż inspirowali się wzajemnie. I nie była to przelotna fascynacja, tak jak w przypadku poprzednich małżeństw Haliny (...)

Z perspektywy lat wydaje się, że jednym z głównych powodów porzucenia drugiej żony była jednak inna kobieta. W 1969 roku Gustaw Holoubek grał na scenie Teatru Dramatycznego w jednej sztuce z Magdaleną Zawadzką, która kilka lat później została jego kolejną żoną. I na pewno zwrócił uwagę na piękną dziewczynę. (...)

Wychowana w konserwatywnej rodzinie uważała swój stan cywilny za „naturalną barierę dla pokus”. Z drugiej strony były to przecież czasy rewolucji seksualnej, a Zawadzka chciała się zaliczać do dzieci kwiatów, które „patrzyły na świat bezczelny, pewnym siebie wzrokiem i łamały wszelkie kanony postępowania”. Nowoczesne poglądy w zadziwiający sposób łączyła jednak z tradycyjnym podziałem życiowych ról. (...)

Pani Magdalena wspominała, że zaczynając nowe życie, mogli liczyć właściwie tylko na siebie, ale nie była to jednak prawda. Mimo zobowiązań alimentacyjnych Gustaw dobrze zarabiał (w 1973 roku było to 6 tys. złotych), a władza ludowa dbała o lojalnych artystów. Niebawem Holoubkowie zamieszkali na elitarnym osiedlu Szwoleżerów w pobliżu Łazienek.

„Gustaw miał talent do załatwiania spraw. Z kocurka zamieniał się w kociczkę. Spuszczał głowę, widać było tylko charakterystyczny nos, z przepięknych wielkich oczu leciały łzy, patrzył na rozmówcę i cedził:

– Jestem w takiej sytuacji, że się rozwodzę. (Pauza). Mieszkam w teatrze...

– Dyrektorze, pan mieszka w teatrze?! – dziwiła się władza.

A władza w PRL miała jedną wielką zaletę – chociaż prymitywna, to się snobowała i kochała artystów. Znajomość z artystami nobiletowała. I Holoubek otrzymywał kolejne locum...” (...)

Po zerwaniu z Františkiem w życiu Maryli Rodowicz pojawił się inny ważny mężczyzna, a tym razem jej związek uczuciowy zelektryzował całą Polskę. Związała się bowiem z Danielem Olbrychskim, co można uznać za PRL-owski odpowiednik romansu Elizabeth Taylor i Richarda Burtona czy też Victorii Adams i Davida Beckhama. Dodatkowej pikanterii sprawie dodawały jeszcze okoliczności towarzyszące zakończeniu ich trzyletniego związku i rola, jaką odegrał w tym naczelny celebryta epoki propagandy sukcesu, Andrzej Jaroszewicz, syn premiera. A na domiar wszystkiego obaj panowie rywalizujący o względy Maryli byli wówczas żonaci. (...)

Z upływem lat pan Daniel dojrzał, ale pozostał niezwykle zazdrosny o sławę i uznanie. I to chyba miało duży wpływ na jego związek z Marylą.

Piosenkarka była bowiem jego przeciwnieństwem, wprawdzie lubiła być adorowana, ale nie przeszkadzała jej popularność Olbrychskiego. Chyba zresztą lubiła czuć się kobietą znanego artysty i sprawiało jej to dużą przyjemność. (...)

Na swój sposób Olbrychski okazał się jednak znakomitym partnerem życiowym. Idealnie trafił w upodobania Maryli do przygody i wędrówek, był bowiem w stanie zaproponować to, czego żaden mężczyzna przed nim zaoferować jej nie potrafił. A to niezwykle imponowało piosenkarce.

„Najmilej wspominam podróż konno z Drohiczyzna do Warszawy. Ponad sto kilometrów lasami, polami, bezdrożami. Spanie w stodołach, wstępowanie do przydrożnych knajp, do kowala. Jak na kowbojskim filmie. Okoliczna ludność była zresztą przekonana, że jest świadkiem kręcenia jakiegoś filmu. Mnie też się to udzielało”. Z Olbrychskim nuda była niemożliwa, ale czasami „było to męczące”, zresztą „życie rodzinne trochę na czymś innym polega”. Pan Daniel wprawdzie potrafił wjechać konno po schodach do karczmy w Drohiczyźnie (!), ale miał zbyt częsty kontakt z alkoholem, co zaczynało być poważnym problemem. (...)

A Andrzej Jaroszewicz, znając upodobanie Rodowicz do szybkich samochodów, zabierał ją na przejażdżki swoją sportową lanią stratos. Na polnych drogach „wzbijał tumany kurzu i wrywał pomniejszych kamienie”, wzbudzając prawdziwy zachwyty piosenkarki. Regularnie również jeździł na koncerty Maryli, zawsze okazując jej wielkie zainteresowanie.

